№ 5. 30. Stycznia 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek Literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Przyczynek do kwestji spornej.

Graficzny obraz życia młodzieży polskiej, uniwersyteckiej w Galicji, dałby nam krzywą, której zasadniczy kierunek poziomy, przerywałyby perjodycznie gwałtowne wzniesienia, równie gwałtownie pod kątem ostrym i bez żadnych przejść pośrednich opadające. Gdybyśmy z innej dziedziny porównaniem posłużyć się chcieli, moglibyśmy powiedzieć, że martwy, zakrzepły poziom życia młodzieży, rozrywają silnie kiedy niekiedy potężne wybuchy wulkaniczne, miecąc w oczy jednym ogień, drugim piasek. Szukając wyjaśnienia tego zjawiska, znajdziemy, że jak w łonie ziemi długo musi się gotować i przygotowywać, aby twarda skorupa mogła być przerwana, tak i wśród młodzieży naszej długie tylko i potężne wrzenie prowadzi do nagłego zerwania i zdeptania krępujących ją ze wszech stron więzów. Lecz inny jeszcze powód owego zjawiska z łatwością wynaleść możemy. Te perjodyczne wybuchy są zewnętrznym wyrazem braku ciągłości i tradycji, braku przyjaciół a nawet, powiedzmy, kierowników młodzieży. Dla wyjaśnienia stanowiska autora i uniknienia wszelkich nieuzasadnionych zarzutów winniśmy tutaj zaznaczyć, że nasi profesorowie uniwersyteccy są w najlepszym razie jedynie fachowymi kierownikami młodzieży, którzy jej nie wystarczają, jak to poniżej uzasadnić postaramy się. A tacy przyjaciele i kierownicy młodzieży z łatwością powstaćby mogli, gdyby nie to, że — jak dotychczas — cały bez wyjątku ogół, opuszczając uniwersytet zrywa z nim wszelkie żywe związki i patrzy na całe swoje życie akademickie po za fachowemi studjami, jak na zabawkę i na «szopkę», o której wspomina się podobnie, jak szesnastoletni podlotek mówi o porzuconych niedawno lalkach. Postępowanie to błędne i naganne; gdyby bowiem większość tych, którzy spojrzawszy po za siebie na swe życie akademickie, pewne wnioski z niego wyciągają, chciała bacznie rozważyć jego dodatnie i ujemne strony, określić warunki istnienia jednych i drugich, następnie ostrzedz i objaśnić po przyjacielsku młodsze pokolenie, czyż potrzebowałaby każda generacja zaczynać ab ovo, powtarzać te same błędy, może dodając do nich nowe, szamotać się bezsilnie i kilka pięknych lat życie stracić w połowie? A jednak dzieje się tak istotnie i zapewne długo jeszcze dziać się będzie, bo nic, niestety, nie zapowiada zmiany na lepsze. I z innego punktu widzenia objaw to wielce smutny, dowodzi bowiem, że ogół po skończeniu uniwersytetu i wejściu w życie realne, porzuca piękne ideały młodości, jako rupiecie albo też balast, utrudniający zwycięską walkę o byt. Gdyby było przeciwnie, młodzież nasza zdołałaby sobie niezawodnie w krótkim czasie wypracować i ustalić program zasadniczy, na którego brak dzisiaj tak boleśnie cierpi.

Dziennikarstwo nasze tak przed — jakoteż i zakordonowe, niejednokrotnie zabierało głos w tej tak piekącej kwestji, a jednak nie została ona do dziś dnia rozwiązana, najważniejsze pytania jeszcze nie doczekały się odpowiedzi, dyskusja ustawicznie jest otwarta i domaga się dodatniego zamknięcia. Skoro *Kurjer Lwowski* z powodu 25 letniego jubileuszu Czytelni akademickiej lwowskiej w szeregu trzech artykułów, niezagojoną na organizmie naszej młodzieży ranę zadrażnił, skoro artykuł p. t. „Młodzież i społeczeństwo", z pod bardzo kompetentnego pióra wyszły, otworzył przerwaną chwilowo dyskusję, niech będzie wolno i mnie, choć patrzącemu na życie uniwersyteckie z niedalekiej jeszcze perspektywy, zabrać głos szczery i przyczynić się może do rozwiązania bodaj w części skomplikowanej zagadki. Dla porozumienia się z góry oświadczyć winienem, że zgoła nie będę się zastanawiał nad stosunkiem młodzieży do społeczeństwa.

Cel i objętość pracy nie pozwalają mi na szczegółowe roztrząsnięcie tej sprawy. Wyjdę raczej z tego założenia, że młodzież nasza powinna świadomie i usilnie dążyć do jak największego uspołecznienia, twierdząc *à priori,* że ani samo wykształcenie fachowe, ani uświadomienie społeczne, nie stanowią celu młodzieży uniwersyteckiej; połączenie tych dwóch zadań jest dopiero godną młodzieży i jej pracy dążnością!

Nie jesteśmy powołani mówić o wykształceniu fachowem, o którem zresztą młodzież dość od swych profesorów dowiedzieć się może. Pragniemy za to słów parę poświęcić sprawie społecznego uświado-

mienia, o które spór się toczy. Co to jest uświadomienie społeczne? Jestto poznanie i zrozumienie tych wszystkich powszechnie obowiązujących praw, podług których odbywa się zawsze i wszędzie ewolucja społeczna! Socjologja stała się dzisiaj nauką ścisłą, która wykryła pewien szereg praw oraz ich wzajemny stosunek; ani jednego ani drugiego nic, nawet protest profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego obalić nie zdoła. A więc przestudjowanie socjologji jest pierwszym krokiem, za którym idzie krok drugi: dokładne, szczegółowe poznanie stanu naszego społeczeństwa, porównanie go z ideałem albo z innem najwyżej rozwiniętem społeczeństwem ludzkiem, określenie braków i dróg, jakiemi do ich usunięcia dążyć należy czyli wypracowanie szczegółowego programu pracy społecznej. W ten sposób osiągnęłaby młodzież inny cel jeszcze, mianowicie wlałaby więcej treści w nasz patrjotyzm, którego siłę osłabia nadzwyczaj ten fakt, iż o jego celu głównym na dzisiaj myśleć nie możemy.

Praca to olbrzymia, bo jak u nas prawie jeszcze nie rozpoczęta, a tak trudna, tak bardzo trudna, ale wdzięczna. Łatwo pojąć, że młodzież w ten sposób należycie przygotowana, wejdzie w życie obywatelskie, rozumiejąc takowe, znając jego zadania i sposoby ich spełnienia. Okolicznościowo zaznaczam, że zabierając się do tej pracy, musi młodzież koniecznie na samym wstępie zerwać z wszelką powagą i doktryną, obcą czy swojską, musi własną pracą dochodzić do wyników, nie wykluczając ze swego zakresu pracy żadnego z objawów i procesów społecznych. Czy kwestje religijne, czy ekonomiczne, polityczne i narodowe, wszystkie bez wyjątku winny być jak najobszerniej roztrząsane i poddane krytyce. Wielu zacofańców domaga się od młodzieży, wykluczenia z góry pewnych tematów z programu swej pracy. Trudno doprawdy zrozumieć, co mają tacy ludzie na celu. Przypomina to owych kapłanów z poematu Szyllera p. t. „Das verschleierte Bild zu Sais“, tylko że tu zerwanie zasłony pociąga za sobą śmierć błędnych pojęć, a nigdy młodzieńca, pozbywającego się ich i wlewającego więcej treści w swe życie.

Wojciech Szukiewicz.

(Dokoń. n.)

Żydzi o kwestji żydowskiej.

(Ciąg dalszy.)

Przytoczyliśmy te zdania, a właściwie te piramidalne niedorzeczności nie po to, by je zbijać, gdyż są one od początku do końca nieprawdziwe, ale dlatego, że stanowią one osnowę dla dalszej teorji p. Feldmana, półgębkiem podzielanej także przez dra Goldmana, o ucisku i upośledzeniu, jaki cierpią żydzi w Galicji. „Organizujące się mieszczaństwo polskie chce wyrugować żydowski handel, żydowskie banki, żydowskie rękodzielnie etc. etc., a najbardziej byłoby zadowolone, gdyby się udało w krótkiej drodze, radykalnie nie interesa, lecz samychże żydów całkiem wytępić“. Coś podobnego wygłosił i dr. Goldman, rozmawiając z posłami sejmowymi, i sam tak p. Bartoszewiczowi zacytował swe słowa: „gdybyście mogli żydów, nie wy-

Dwa Laury

przez

Helenę Ceizingerównę.

Byłam w pracowni mistrza... nazwiska wam nie powiem — co wam po nazwisku?...

Malarz był nieobecny; na artystycznej wycieczce odpoczywał po twórczej pracy i zbierał materjały do nowych arcydzieł, które mu stosami złota i daleko brzmiącą sławą opłacić miano

Przyjaciel jego, wierne, stare factotum, miał pozwolenie blizkich znajomych swoich wprowadzać przez ten czas do zaklętego przybytku, w którym mistrz sam rzadko bardzo i niechętnie natrętnych ciekawskich przyjmował. Wpuszczono mnie samą.

Otoczył mnie świat malowany, świat szkiców, niedokończonych portretów, podmalowanych płócien olbrzymiego rozmiaru; chaos, ale chaos imponujący.

Tutaj wychyla się do mnie twarz kobiety w balowym stroju, o cudnych białych ramionach — piękność jej nie ma w sobie nic świętego, niemniej jest pięknością żywą, upajającą do szaleństwa. Powiadają, że ona to potrafiła najdłużej zatrzymać u nóg swoich znakomitego artystę.

Tam, nimfa młoda, o wiosennym wdzięku i sile, znużona pląsami, rzuciła się na puszysty kobierzec traw. Głowa jej dotyka przejrzystego strumienia, a ręka prawa niesie do ust różowych, zaczerpnięte w krynicznem źródle krople kryształu. Jest swawolna, rozigrana jak dziecko, a piękna! Ba! Poznaję w niej pannę *** z teatru — przedmiot uwielbienia złotej młodzieży i chwilowego, jak zwykle, upodobania genialnego kapryśnika. Ach, piękne tu jest wszystko! Piękny jest ten biskup w fioletach, z tą charakterystyczną, mądrą twarzą swoją; piękny jest ten dżokej, dobiegający do mety, piękne te dziewczęta, uciekające tak niezręcznie przed chłopcem, który je goni... a przecież, przecież czegoś mi niby brak tu jeszcze, rozglądam się, szukam, niby coś więcej znaleźć tu miałam nadzieję...

Ciekawie zbliżyłam się do stalug. Na rozpiętem płótnie, ostatnia, świeżo widać rozpoczęta praca artysty znęciła mnie ku sobie. Płótno całe było jeszcze białe, tylko w połowie jego dwie, zupełnie wykończone główki dziecinne, djabełka i aniołka, patrzyły się wzajem na siebie.

Mistrzu! Co za dziwaczna fantazja! Czarny demonek, prawdziwie z piekła rodem, uśmiechał się słodko, niewinnie. Złotowłosy cherubinek złościł się szkaradnie, aż mu się krzywiły śliczne, różowe

łączając mnie, w jednym dniu wyrznąć lub wygnać z kraju, tobym rozumiał waszą obojętność dla sprawy żydowskiej". Brrr! co za krwiożercze społeczeństwo! — pomyśli sobie niejeden, zwłaszcza jeżeli nie zauważy, że cała ta krwiożerczość zaintrodukowaną jest niewinnem słóweczkiem „gdyby". Więc to tylko przypuszczenie, hipoteza, głoszona jednak tonem męczeńskim gwoli poruszenia serc prostaczków. Niestety, przywykliśmy już do tego tonu i do tych manewrów retorycznych; prasa nasza przyzwyczaiła nas do nich, często, zbyt często wspominając tak samo Szelę, Gontę, Żeleźniaka i hajdamaczyznę. Porzućmy więc „gdyby" i szukajmy faktów ucisku.

Mamy je u p. Fedmana — i rzeczywiście okropne. Posłuchajmy! Szlachta „zmuszała żyda przez wymaganie odeń wielkich czynszów dzierżawnych za gorzelnie, propinacje, młyny i karczmy do rozpajania chłopa i poszukiwania kompensaty w postaci lichwy — a potem robiła go za to odpowiedzialnym". Czy nie machiawelizm? Wprawdzie nie wiemy, gdzie i kiedy w młynach rozpajano chłopów, nie wiemy i o tem, by nprz. chłop szukał kompensaty w postaci lichwy na żydach, a kwestję wymagania wielkich czynszów dzierżawnych po bliższem rozpatrzeniu możnaby postawić całkiem inaczej, nprz. tak, że sami żydzi, cisnąc się na wyścigi do podobnych zajęć, podbijali cenę w górę, a gdzie nie było konkurencji, tam pomimo najlepszej chęci szlachcica, czynsz dzierżawny zawsze padał — no, ale jest też i jądro racji w tem zdaniu, mianowicie to, że żydzi byli takimi, jakimi ich stosunki społeczne zrobiły. Lecz to przeszłość! Przejdźmy do ucisków teraźniejszości.!

„Wszystkie opinje i stronnictwa chrześcjańskie schodzą się w jednym punkcie, a jest nim walka ekonomiczna (z żydami) o sklepy, o urzęda, o warsztaty i o ziemię. Rzemieślnik żydowski zarówno jak chrześcjański, musi walczyć z ogólnem ujemnem położeniem ekonomicznem, ale na każdym kroku spotyka się nadto z zabójczym przesądem i uprzedzeniem. Jeżeli żyd roli się ima, to wszystkie posterunki dziennikarskie uderzają w wielki dzwon, że „szmat ziemi polskiej" w obce idzie ręce. Jeżeli żyd do urzędów się ciśnie, to i tu na wszystkich urzędach autonomicznych i instytucjach krajowych wita go napis, „lasciate ogni speranza".

Czy to wszystko prawda? Stanowczo odpowiadamy: nie! P. Feldman i jemu podobni, albo nie widzą rzeczywistego stanu rzeczy, albo nie chcą go widzieć, lecz tworzą sobie widziadła i wojują z niemi. Ani wzgardy ani szczególnych uprzedzeń do rękodzielników żydowskich ludność chrześcjańska u nas nie ma; mimo wypowiadanych nieraz półgębkiem haseł antysemickich, ludność ta kupuje u żydów i daje im zarabiać na każdem polu; kilkanaście lub kikadziesiąt sklepików „chrześcjańskich", które zazwyczaj pobierają swe towary od żydowskich engrossistów, nie mogą zaważyć na szali, wobec kompletnego opanowania handlu galicyjskiego przez żydów. A jeżeli chrześcjanie nie dopuszczają żydów do pewnych posad lub stanowisk, wymagających zaufania, to nie pochodzi to ze wzgardy ani nie jest znamieniem prześladowania,

---

policzki. A niechże cię Bóg kocha, artysto! Choćbym wieki stała przed twym obrazem, nie zrozumiem, co przezeń powiedzieć chciałeś! Pędzel twój w szalonej ironji maczany, szydzi z piekła i nieba zarazem. Dziwny obraz! Do śmiechu mnie pobudził z początku, a teraz, gdy wpatruję się w niego, z każdą chwilą mi smutniej i smutniej... Eh, dajmy pokój temu! To bardzo brzydki i głupi obrazek. Ale czemu przyglądać się tu dalej?

Wszystko mi jakoś sposępniało i zbrzydło w tej przepysznej, arcydziełami zapełnionej pracowni, a tamte dwie niedorzeczne twarzyczki wędrują za mną i kładą mi się na każdem płótnie, na balowej sukni damy i na pięknym biuscie nimfy leśnej i na piusce światowego, o dyplomatycznym uśmiechu biskupa. Muchy uprzykrzone! Czyż się wam opędzić nie zdołam!

Zniechęcona, zdenerwowana, niezadowolonym wzrokiem wodziłam po tych ścianach. Już miałam wyjść, gdy drzwi, czerwoną portjerą przysłonięte, zwróciły moją uwagę. Jakaś niepojęta siła przykuła mój wzrok do tej kotary.

Czy to dalszy ciąg pracowni czy też prywatne mieszkanie, do którego wchodzić nie wypada i nie należy? Djabełek i aniołek z obrazu zarysowały mi się znowu wyraźnie na tle czerwonej portjery. Niedyskretną ręką uchyliłam zasłonę i nie zawiodłam się. Tam także były obrazy. Najpierw portret mężczyzny, w stojącej postawie, naturalnej wielkości, rzucił mi się w oczy. Zbliżyłam się żywo, był to własnoręczny portret artysty. Jakże wam go opisać? Przedemną stał piękny mężczyzna, w wykwintnym, nowożytnym stroju; postać szczupła, drobna nawet, ale kształty tak szlachetne, harmonijne, tak estetyczne, że z upodobaniem patrzyłam na nią czas jakiś, nim oczy na twarz podniosłam. Blady, z puklami ciemnych włosów, spływających na ramiona, pochylał lekko piękną głowę i z niewymownym sceptycyzmem spoglądał na zieloną gałązkę lauru, trzymaną w białej, artystycznej dłoni. Ach, jakiż zimny, ostry, obrażający był uśmiech tych ust skrzywionych! Z czego on się śmieje tak okropnie? Ale w miarę, jak podnosiłam wzrok, szyderstwo nikło z tego oblicza, zastępowała je miękkość niewieścia prawie i melancholja jakaś dziwna, niezrozumiała, a oczy, choć ciemnemi powiekami nakryte, mówiły o rozpaczliwym, beznadziejnym bolu. Kontrast tych oczu smutnych, z temi szalonemi ustami, był przejmujący. Nad czarnemi brwiami — trzecia niespodzianka — wznosiło się dumne, spokojne czoło myśliciela. A jednak zapomniało się o oczach i czole, aby wrócić znów do tych ust, wyrafinowaną ironją napiętnowanych.

lecz po prostu dowodem braku zaufania. Przecież żydzi w nierównie większej mierze nie dopuszczają chrześcjan do stanowisk poufnych w swem gronie, zasłaniając się wyznaniowością. A zaufanie jest taką rzeczą, na którą czynami, postępowaniem zasłużyć należy. Nie dość na tem! „Antysemita“ Merunowicz w tym samym numerze *Kraju* konstatuje wprost, że chrześcjanie boją się żydów. A więc ci wrzekomi prześladowcy sami drżą przed swemi ofiarami, coś jak w owej anegdocie o siedmiu Szwabach, którzy omal nie pomarli ze strachu, uciekając przed zającem, co spłoszony ich widokiem w obłędzie przestrachu ku nim biedz zaczął.

Ale skądże nieufność? dlaczego obawa przed żydami? Mógłby nam na to po trosze odpowiedzieć „antysemita“ Merunowicz, wolimy jednak dać słowo Semicie, i to czystej i niesfałszowanej krwi. Niech on na to pytanie odpowie.

IV.

W połowie r. z. opublikował dr. Leopold Caro, Lwowianin, serję artykułów w niemieckiem czasopiśmie *Die Grenzboten* p. t. „Die Judenfrage eine ethische Frage“. Artykuły te zwróciły na siebie powszechną uwagę publiczności i prasy tak filojak i antysemickiej. Echa, jakie obudziły te artykuły w prasie, były charakterystyczne i świadczyły o tem, że autor trafił, jeżeli nie w samo jądro sprawy, to przynajmniej w punkt bardzo czuły i kolący. O ile uczciwa prasa, tak żydowska jak i nieżydowska — antysemicką nazwać jej nie można — wypowiedziała o nich sąd korzystny, przyznała autorowi wielką odwagę cywilną i uznała jego szczere intencje wypowiedzenia bez ogródki tego, co uznaje za prawdę, o tyle ze strony gazet partyjno agitacyjnych, zarówno antysemickich, jak i żydowskich (organ rabina Blocha) posypały się na głowę autora wcale nie doborowe obelgi, insynuacje i wrzaski. Jak nieraz już, tak i tym razem fanatyczny obrońca żydowstwa znalazł się na jednej desce z fanatycznym żydożercą, gdy chodziło o obrzucenie człowieka, występującego nie w imię doktryn — czy to żydowskich czy antiżydowskich — nie w imię nienawiści i sekciarskiej wyłączności, lecz w imię najprostszej zasady ludzkości, uczciwości i sprawiedliwości. Toż rzeczywiście, całą treść artykułów dra Caro wyrazić można w tych słowach:

K w e s t j a ż y d o w s k a b ę d z i e r o z w i ą z a n ą, s k o r o ż y d z i s t a n ą s i ę w s z y s c y u c z c i w y m i l u d ź m i. I przeciw tej rzeczy, tak prostej, tak naturalnej, tak elementarnej, stanowiącej, jakby się zdawało, nieodzowny punkt wyjścia dla wszelkich wogóle planów reformatorskich i dla wszelkiej o nich dyskusji — boż z nieuczciwymi ludźmi nie ma dyskusji, a cała reforma, jaką im zaaplikować wypada, to dom poprawy lub kryminał — przeciw temu uzbroiła się szlachetna dwójca — rabin Bloch i jego antysemicki najserdeczniejszy! Nie mogę sobie wyobrazić większej satysfakcji, większego zaszczytu dla autora-publicysty, którego pociski od razu zdolne są wywrzeć taki wpływ magiczny na dwie przeciwległe strony. To też nie dziw, że dr. Caro musiał poczuć

Cóż tam dalej? Kilka drobnych obrazków, a na końcu znów płótno większego rozmiaru. Oglądajmy po kolei!

Na wzgórku krzyż. Na jednem ramieniu chrystusowego drzewa usiadła ptaszyna i trwożnie spogląda dokoła. Pod krzyżem klęczy kobieta, a przy niej ptasząt, dzieci drobnych, troje.

Chmura straszna, czarna, idzie ku nim, jak klęska, jak zniszczenie, kłębi się ponuremi falami i grozi gniewnie: pochłonę was.

Chłopcze czarnooki, smukły, wątły, czemuż ty już dzieckiem, z namiętną ciekawością ofiary wpatrujesz się w tę, co niesie śmierć i zagładę?! Czemu niby dumą, niby pogardą, strzela twój wzrok?!

A ty drugie, jasnowłose dziecię? kto ci powiedział, że pioruny i gromy wyzywać można bezkarnie?! Czemuś taki wesoły, taki nieustraszony mój mały? Czy w burzy żyć ci i umierać tobie, piękny, niebieskooki aniołku?!

Trwóż się dzieweczko! Trwóż się i tul do matki! Ty boisz się błyskawic i grzmotów, tobie dobry Bóg dać powinien niebios pogodę i ciszę szczęścia.

A matka? Szczęśliwa! Ona nie widzi chmur i nie widzi oczów swych dzieci. Wzrok i duszę utopiła w wizerunku Umęczonego. Cóż ją wszystkie burze świata obchodzić mogą? W sferach jej ducha błękit wieczysty.

Mistrzu, czy i ty miałeś taką matkę?

Przypominam, powiadano, że ty w domu podrzutków urosłeś!

* * *

Posępny był pierwszy obrazek, za to na ten hojną dłonią rzucił mistrz barw i blasków tysiące.

Pomarańcz, palm, granatów gaje, włoskiego nieba szafiry, włoskiego słońca jasny blask, wszystko wydobył z palety i pod tem niebem południa przechadzać się kazał dwojgu cudownym dzieciom ziemi. Hej, mistrzu, ten młodzian piękny, jak starożytny bóg, to twój chłopiec jasnowłosy z pod krzyża, to dziewczę, to siostra jego! Oj, nie siostra! Nie z tym żarem w źrenicach patrzyłby on na siostry postać kochaną, pod spojrzeniem brata nie różowiłaby się tak blada, liljowa twarzyczka. Jeszcze chwila, a usta ich połączą się w namiętnym uścisku.

Ach, wstrzymajcie się! Jest ktoś, co smutnym, żałosnym wzrokiem wodzi za wami. Dzieciak czarnooki z pierwszego obrazku w posępnego wyrósł młodzieńca. Zazdrości, ani gniewu nie ma w jego sercu, tylko uśmiech bolesny osiadł mu na licach. Nie dla niego ten profil czysty, a bohaterski, nie dla niego ta postać dziewicza... W dzieciństwie była im może siostrą, ale gdy dni dzieciństwa minęły, dziewczyna wzięła im duszę. Co życie z tą miłością uczyni? (Dok. n.)

słuszną dumę i uzupełniwszy, zaokrągliwszy swe artykuły, wydał je na świat w osobnej broszurze, która już od kilku tygodni jest w ręku czytającej publiczności w Niemczech i Austrji, i bez wątpienia należy do najlepszych rzeczy, jakie w ostatnich latach opublikowano w kwestji żydowskiej.

Godzi się przeto zapoznać czytelnika pokrótce z treścią i argumentacją broszury w ogólnych zarysach, zanim przejdziemy do szczegółowej dyskusji nad niektóremi specjalnemi kwestjami.

We wstępie podnosi autor konieczność wypowiedzenia bezstronnego i prawdziwego zdania o antysemityzmie, grasującym obecnie w całej prawie Europie środkowej. „Uważam się — pisze on — za zdolnego do wydania sądu bez uprzedzenia, gdyż osobiście, chociaż jestem żydem, nigdy od mych chrześcjańskich współobywateli nie doznałem żadnej obelgi ani upośledzenia, przeciwnie, doznałem więcej uznania i odznaczenia, niżem nawet zasłużył“. Już to wstępne wyznanie, tak skromne, a zarazem otwarte, dowodzi szczerości i odwagi autora.

„Kwestja żydowska — pisze on dalej — nie jest ani kwestją religji, ani też kwestją rasy. Bez kwestji, żydowska religja ze swym monoteizmem była najwspanialszą i najmoralniejszą (? autor nie zna oczywiście religji i moralności Buddy i króla Asoki!) religją starożytności, lecz wraz ze swą surową zasadą odwetu jest ona obecnie religją przeszłości i stoi daleko niżej od etyki chrześciańskiej, która ma współczucie i pomocną dłoń dla chorych i grzeszników, od których się religja żydowska odwraca. W Europie współczesnej — z wyjątkiem Anglji — ogół tak mało zajmuje się kwestjami religijnemi, ludzkość cała jest tak tolerancyjną, że religijne prześladowanie ludzi inaczej wierzących na większą skalę jest rzeczą prawie niemożliwą. Jeżeli mimo to kwestja żydowska tak potężnie porusza umysły mas, to nie może to dziać się z motywów religijnych.

„Prześladowania rasowe zdarzają się dziś jeszcze dość często, ale stosują się tylko do poszczególnych narodowości, o które zachodzi obawa, że wzmocniwszy się, zechcą stworzyć osobne państwo. Są to środki polityczne, stosowane nie z powodów moralnych, lecz z racji stanu, mają charakter lokalny i wychodzą zazwyczaj nie od narodów, lecz od rządów. Autor przytacza jako przykłady ucisk elementu polskiego dawniej, za czasów germanizacji w Austrji i obecnie w Rosji. Z żydami rzecz ma się wręcz odmiennie. Tylko drobniutka cząstka myśli dziś o założeniu osobnego państwa, większość uważa myśl tę za utopję. Zresztą gdyby wszyscy żydzi zapragnęli stworzyć swe państwo gdzieś w Palestynie, Arabji lub Argentynie, to państwa europejskie myśl tę powitałyby i poparły z największą radością. Są i inne kwestje rasowe, np. kwestja Chińczyków w Kalifornji, których ludność tamtejsza nienawidzi z powodu ich mniejszych potrzeb i konkurencji. Ale i ten przykład nie stosuje się do żydów europejskich. Mimo, iż rzemieślnik żydowski także mniejsze ma potrzeby i taniej robi od chrześcjańskiego, nie doznaje on przecież takiej nienawiści, jak żydowski lichwiarz lub giełdowicz. Przeciwnie, gdy jedna część z konkurencji jest mu przeciwną, co zresztą jest rzeczą naturalną, pozyskuje on często ogół ludności, dla którego jego praca jest korzystną i zapewnia sobie jej sympatję i poparcie.

Z tych powodów sądzi dr. Caro, że kwestja żydowska nie jest ani religijną, ani rasową, lecz jedynie i wyłącznie kwestją moralności. Z tego też punktu widzenia oświetla ją szczegółowo w dalszym ciągu swej broszury.

Iw. Franko.

MODUS IN REBUS.

Obrazek z życia wiejskiego

przez

ADOLFA DYGASINSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Siadajcie, łajdaki! — zawołał Wyszmoński. — Niech mi każdy dyktuje swoje pretensje... Gold ma pierwszeństwo.

Gold, drżąc, wydobył paczkę rewersów i dyktował poszczególne sumy, które pan Ryszard zapisywał ołówkiem na arkuszu, potem podkreślił i dodał, mówiąc:

— To jednak, mój Gold, pomiędzy nami, jak widzę, bardzo poważne interesa miały miejsce... No, no, no!... Ha, w każdym razie dziękuję ci za zaufanie!

I przez stół wyciągnął rękę do Golda.

Żyd, przy tym niespodziewanym zwrocie, porwał się z miejsca tak nagle, że aż przewrócił krzesło, na którem siedział i z czcią uścisnął dłoń Wyszmońskiego, ustami dotykając łokcia.

W ten sam sposób nastąpiło obliczenie z Djamentem, Kotełesem, Krakowskim i z innymi.

— A teraz — rzekł pan Ryszard — gdy wszystko wyjaśnione, muszę zjeść śniadanie, bom wyczerpany zupełnie. Pokrzepcie się i wy jabłkami, poczem ostatecznie załatwimy sprawę.

Powiedziawszy to, spojrzał na zegarek, mruknął coś pod nosem i z pugilaresem w ręku wyszedł. Ale zaledwie próg izby przekroczył, gdy drzwi zatrzasnął, a potem je z zewnątrz na klucz zamknął. Słysząc podwójne szczęknięcie zamku, żydzi spojrzeli znacząco po sobie, jak gdyby jeden drugiego zapytywał:

— A to co ma znaczyć?

Przegryzali jabłkami i czekali, a Wyszmoński się nie zjawiał. Minęła jedna, druga godzina żydzi powstali z krzeseł, poczęli szwargotać coś pomiędzy sobą, z początku urywanemi półsłówkami, później gwarnie...

— Wusy dues? Er kimmt nicht! — wołał Djament.

Gold najprzód uśmiechał się gorzko, potem podszedł do kąta, pochwycił głowę obiema rękoma i biadał:

— Jakie ja głupie, jakie ja głupie, aj waj! Czy ja jego nie znał, czy ja nie powinien wiedzieć, co on mi nie zapłaci moich pieniądzów?...

Ta rozpacz Aronka, który miał u dziedzica Krzepówka przeszło pięćdziesiąt tysięcy złotych, pognębiająco wpłynęła na innych żydów. Niektórzy z nich zbliżyli się do okna i wyglądali przez nie, ale widzieli tylko na niebie wrześniowe słońce, staczające się ku dołowi firmamentu, a pod spodem ziemię, od której byli oddaleni na wysokość piętra. Inni przystąpili do drzwi i ostrożnie próbowali klamki, ale grabowe drzwi były szczelnie zamknięte i stały, jak mur niewzruszony.

Niepokój między uwięzionymi wzrastał; pomyśleli o nadchodzącym szabasie i drżeli na myśl, że im przyjdzie może spędzić święto w tem zamknięciu, zdala od rodzin.

Było już dobrze po godzinie trzeciej, gdy się dało słyszeć stukanie do drzwi. Kilku podbiegło żywo, pytając:

— Ny, co to jest?

— Mój jaśnie pan się dowiaduje, czy tu kupcom dobrze? — zapytał lokaj Wyszmońskiego.

— Jak to dobrze? Gdzie ma być dobrze?... My przyjechali po pieniądze swoje, a nas zamknęli... Aj waj, gwałt taki! Gdzie ma być dobrze?... Mój panie, niech pan z łaski swojej otworzy! — wołał płaczliwym głosem Djament.

— Niechno kupcy idą do okna — odezwał się służący — zaraz wam przez lufcik podam na żerdzi pismo jaśnie pana i jeśli zrobicie to, co tam stoi napisane, odrazu wam drzwi otworzę i wypuszczę wszystkich na szabas; pójdziecie sobie do domu na kugla... Słyszycie, kupcowie?...

Więźniowie wysłuchawszy przemowy, podeszli do okna; niebawem też lokaj podał im arkusz papieru, przywiązany szpagatem do długiej tyki.

Djament skwapliwie pochwycił ów papier i głośno odczytał, co następuje:

„Ja, Ryszard Wyszmoński, dziedziczny pan na Krzepówku z przyległościami, skazuję jedynastu żydów na tydzień wieży za szerzenie po okolicy wieści, czci mojej uwłaczających; z tejże samej przyczyny zawieszam do czasu nieograniczonego wypłatę przypadających owym żydom odemnie depozytowych należności. Jednakże z uwagi, iż tygodniowe więzienie o głodzie mogłoby niejedną żydowską rodzinę pozbawić ojca, pozwalam rzeczonym żydom karę więzienia zamienić na grzywny, to jest wykupić się za gotówkę. Wykup taki atoli uważam za kaucję, czyli za własność tych, którzy go złożą, wydaję nań rewersy i dołączam do sum, jakie jedynastu winowajców złożyło przedtem już u mnie w depozycie“.

Potem następowało wymienienie, ile który wierzyciel ma złożyć owej kaucji, tak, że ci, którym Wyszmoński był winien najmniej, zostali najciężej obarczeni; ogólna suma wynosiła około pięciu tysięcy złotych.

Wrzask oburzenia rozległ się wśród uwięzionych wierzycieli i posypały się nawet obelgi na pana Ryszarda. Z tem wszystkiem żydzi złożyli między sobą walną naradę i postanowili wykup złożyć. Ponieważ jednak mieli przy sobie zaledwie połowę żądanej sumy pieniędzy, przeto Wyszmoński kazał im do okna przyprowadzić Icka Drukarza i ten na usilne prośby swych współwyznawców dołożył resztę. Wypłata nastąpiła przez lufcik na ręce lokaja.

Teraz każdy, wypuszczony z wieży izraelita otrzymał do rąk kwit, na którym pan Ryszard poświadczał, iż ten a ten dobrowolnie wniósł do kasy Krzepówka taką a taką kaucję, jako rękojmię uczciwego prowadzenia interesów handlowych.

Czas naglił, więc żydzi pośpiesznie uchodzili do Bochni na szabas.

— Trzeba karać zuchwałych łotrów — mówił pan Ryszard. — Inaczej obywatel wśród nich zginąć musi...

Innym razem znowu, Wyszmoński używał przejażdżki na swym karym wierzchowcu i spostrzegł, że ktoś obcy, dla skrócenia sobie drogi, przejeżdża przez pole, gdzie rządca Krzepówka kazał pozatykać wiechy na znak, iż „nie wolno“.

Nie przez zapobiegliwość gospodarską, lecz przez ciekawość, pan Ryszard zajechał drogę obcemu i i spotkał się oko w oko z Samuelem Goldgardem, kupcem zboża z Krakowa.

— Proszę zawrócić natychmiast do dworu! — zawołał dziedzic Krzepówka, wywijając energicznie szpicrózgą nad głową furmana.

Nadaremnie Goldgard i jego woźnica wypraszali się i uniewinniali niewiadomością; nic nie pomogło, musieli jechać do dworu. Tutaj pan Ryszard okazał się nadzwyczaj uprzejmym, prawie własnemi rękami wysadził Goldgarda z bryczki i z nieubłaganą gościnnością zaprosił do siebie.

— Cóż to jest?... — mówił. — Jeździsz pan kupiec po okolicy pod moim nosem, tratujesz mi nawet najżyzniejsze pola, zakupujesz wszędzie zboże, a nigdy do mnie nie wstąpisz... Nie chcesz, nie kupuj u mnie, ale mnie nie omijaj, bo ja lubię gości!

Teraz Goldgard z wielkim żalem opowiedział scenę, jaka niegdyś miała miejsce pomiędzy nim, a panem Piotrem Wyszmońskim, nie przyznającym żydowi prawa zdjęcia chałata i ubrania się krótko. Kupiec zboża tłómaczył, iż odtąd omija zawsze Krzepówek, jakkolwiek ojciec jego, Abraham Goldgard, w rachunkach swoich pozostawił ślady bardzo ożywionego handlowego stosunku z tym majątkiem ziemskim.

Uśmiał się serdecznie pan Ryszard z dziwactwa swego nieboszczyka ojca i rzekł:

— Jako człowiek nowożytnej cywilizacji uważam sobie nawet za obowiązek naprawić wszystko, co

popsuć mogła nietolerancja mojego ojca, posunięta do najwyższej śmieszności... Ha, ha, ha! On gotów był najporządniejszego człowieka prześladować za zdjęcie chałata. Jacy to dziwacy ci starzy ludzie!... Ten, panie Goldgard, który się zrzeka przesądu, jest zawsze dla mnie godzien wielkiego uznania i ma we mnie przyjaciela. Jakie to szczęś ie, żeśmy się zeszli! My młodzi musimy robić cywilizację.

Wyszmoński posadził Goldgarda na kanapie, kazał podać wino, owoce, cygara, trącał się ze swym gościem kieliszkiem i n eustannie a obowiązująco serdecznie zachęcał go do picia.

Kupiec zboża rozrzewnił się tem przyjęciem i ani spostrzegł, kiedy się upił.

Dopiero nastąpiły zwierzenia: żyd skarżył się, że w okolicy szlachta jest pyszna, wyniosła, mało przystępna; Wyszmoński znowu przedstawiał, iż będąc panem z panów, lecz człowiekiem rozumnym i wykształconym, nie ma z kim żyć w sąsiedztwie.

— Widzisz, panie kupiec, ja jestem człowiekiem, zabawić się ze mną można, jak z równym, a tyś mnie omijał i interesów ze mną unikałeś! — mówił pan Ryszard, prowadząc rozmowę tak zręcznie, aby propozycja kupna zboża wyszła od żyda.

Nie było to zbyt trudnem zadaniem, gdyż podochocony Goldgard zrobił się nadzwyczajnie sentymentalnym i pierwszy wyraził tak upragnione przez Wyszmońskiego żądanie.

Dziedzic Krzepówka grał wybornie komedję, udawał, że na posiedzeniu czysto przyjacielskiem nie wypada traktować pieniężnych interesów, aż w końcu zawołał:

— Bierz cię djabli! I ty mnie, panie Goldgard, za serce ująłeś... Z porządnym człowiekiem nie mogę mieć skrupułów! Czterystu ani trzystu par ci nie sprzedam, lecz sprzedam dwieście... Tylko pod jednym warunkiem koniecznie: nie mogę od ciebie wziąć inaczej, jak o dwa złote niżej cen targowych w Bochni.

Kupiec wziął na szlachetność i ofiary przyjąć nie chciał. Sprzeczali się, sprzeczali, nareszcie przecięli owe dwa złote na pół i Wyszmoński, nie mając już ani garnca zboża na sprzedaż, sprzedał jednak czterysta korcy, parę po sześćdziesiąt dziewięć złotych. O spisywaniu jakiejkolwiek umowy Goldgard i słuchać nie chciał, chociaż pan Ryszard bardzo nalegał.

— Kiedy tak, to się trąćmy na zgodę! — zazawołał dziedzic Krzepówka, nalewając kieliszki wybornym, wytrawnym węgrzynem.

Trącili się, podali sobie dłonie, wypili. Kupiec dał zaliczki pięć tysięcy złotych, i uszczęśliwiony, a bardziej jeszcze pijany, pojechał dalej.

— Ciężko, bardzo ciężko żyć dzisiaj obywatelowi! — mówił Wyszmoński, spotkawszy się w Krakowie z jakimś znajomym, a potem poszli obaj na butelkę szampana do hotelu Saskiego.

* * *

Miał już pan Ryszard czterdzieści lat wieku, kiedy pomyślał, że mógłby sobie wybrać towarzyszkę życia. O samo towarzystwo mniej mu chodziło; ale żona może mu wnieść posag, coby p prawiło stan materjalnych interesów w Krzepówku. Nadzieja ta, iż się Wyszmoński kiedyś bogato ożeni, stanowiła też źródło cierpliwości licznych jego wierzycieli.

Jakoż rozniosła się była raz wieść po Bochni i w okolicy, że dziedzic Krzepówka jeździ dość często w zaloty do wsi Biedrzeńca, gdzie stara się o rękę bardzo posażnej jedynaczki, panny Wągorskiej.

Na tę wiadomość nikomu serce nie zabiło tak żywo, jak Goldowi; niebawem wybrał on się w podróż do owego Biedrzeńca i na miejscu dowiedział się wszystkich szczegółów od tamtejszego pachciarza, Judki. Powiedziano mu, że istotnie bardzo posażna panna Wągorska jest na wydaniu, że ma do swojej ręki kilku pretendentów, a między nimi i pana Wyszmońskiego.

Najwięcej się jednak Gold ucieszył z tego, gdy mu powiedziano, iż dziedzic Krzepówka ma bardzo duże widoki powodzenia, ponieważ panna i jej matka stoją po jego stron e, a tylko sam ojciec podobno nie życzył go sobie za zięcia. Judka rozpowiadał, że w biedrzenieckim dworze kobiety głównie rządziły i wszystkiem trzęsły; więc, rzecz prosta, łatwo było przewidzieć, na czem się skończą zaloty pana Ryszarda.

Od siebie winniśmy dodać tutaj, jako wszystkie te wiadomości były najzupełniej prawdziwe.

Wyszmoński dobijał tedy w Biedrzeńcu targu o pannę i właśnie podczas karnawału konkury jego były w takiej fazie, co to najmniejsza nieprzychylna okoliczność mogła mu bardzo zaszkodzić, zwłaszcza, iż panna miała w czem wybierać. Stary Wągorski, człowiek skąpy, który przez całe życie ciułał grosz do grosza, krzywo spoglądał na pana Ryszarda, protegowanego przez kobiety z powodu dobrego tonu i wybornego akcentu francuskiego. Ojciec panny wśród dalszych członków rodziny wytwarzał partję, popierającą innego konkurenta,

O tym stosunku widzieli żydkowie w Pilicy i różni ludzie w Biedrzeńcu. a Judka pachciarz, człowiek wielce bacznego oka, niezmiernie się tą sprawą interesował; chodziło mu bowiem o to, kto w przyszłości zostanie panem, dziedzicem Biedrzeńca. Żyd ów był tajemnym sprzymierzeńcem Wyszmońskiego. U niego to Gold nocował i zasięgał języka, a chociaż jednego słówka nie pisnął o swoich należnościach u dziedzica Krzepówka, przecież Judka i tak wszystkiego a wszystkiego się domyślał.

— Ny — mówił do Golda — ty gwałtów żadnych nie rób, interes masz jak szkło czysty, powinieneś na tem dobrze zarobić! Ten pan Wyszmoński będzie wolał dług tobie oddać, niż stracić pięćkroć sto tysięcy posagu za panną... Hörst du, ty tak rób, coby on się ciebie bał! Niech on wie, co ty Wągorskiemu możesz o jego długach powiedzieć, to on tobie dług ze strachu odda.

Gold wziął do serca radę biedrzenieckiego pachciarza, poczem pocieszony, ale i zamyślony, powrócił do Działoszyc.

— Co tu począć — myślał — żeby dziedzica Krzepówka przestraszyć i do zapłacenia długu zmusić? Jak żyd począł medytować, tak sobie nareszcie ułożył plan przerażenia jakoby Wyszmońskiego.

(Dokończenie nastąpi.)

Z ruchu literackiego.

M. Karejew: *Zarys historyczny Sejmu polskiego*, przełożył Poznański. Warszawa. Nakład redakcji *Głosu*.

Znany historyk rosyjski Karejew, oddający się od dłuższego czasu studjom nad historją polską, ogłosił powyżej przytoczone dzieło w języku rosyjskim w r. 1888. Cała praca dzieli się na następujące ustępy: 1) Dwie główne właściwości sejmu w Polsce. Tymi właściwościami są jednostanowość i kongresowość. Następnie przeprowadza autor porównanie sejmów naszych z francuskimi etats-generaux i rajchstagami niemieckimi. 2) Przywileje szlachty i „wolna elekcja". Przedstawia tu autor w ścisłym związku z poprzednimi właściwościami sejmu pozostające dwa główne prawa, w których szlachta polska widziała podwaliny swej złotej wolności, t. j. „wolną elekcję" i „głos wolny" czyli *liberum veto*. Przedstawiwszy rozwój i wzrost szlachty w XV. w., mówi o upośledzeniu włościan i miast. W ustępie 3) „Samorząd województw" i *liberum veto*, rozbiera przyczyny i skutki podziału pierwotnej Polski na dzielnice, mówi o charakterze zjednoczenia Polski w pierwszej połowie XIV. w., o nieustającym separatyzmie ziem, wreszcie porównuje sejm polski ze stanami generalnymi Hollandji. Ustęp 4) „Wzajemne stosunki trzech stanów Rzeczpospolitej". W trzech stanach polskich: królu, senacie i izbie poselskiej widzi analogję z trzema stanami (three estates of the realm) w Anglji, widzi bliskie podobieństwo senatu polskiego z angielską izbą lordów, mówi o roli rady królewskiej, o istocie wzajemnych stosunków senatu i izby poselskiej, o inicjatywie ustawodawczej itd. 5) Sejmy, bezkrólewia i konfederacje. W rozdziale tym mówi Karejew o rozmaitych rodzajach sejmów polskich w epoce monarchji obieralnej, o zrywaniach sejmu, bezkrólewiach, konfederacjach. W 6) tj ostatnim wreszcie rozdziale, mówi o reformach ostatnich trzydziestu lat XVIII. stulecia i konstytucji 3. Maja.

Głos rosyjskiego historyka nader ciekawy, budzi zajęcie tem bardziej, że Karejew nie należy bynajmniej do polakożerczych Rosjan. Bezwątpienia wiele myśli, zdań i sądów jego dałoby się zakwestjonować, ale to pozostawić należy pismom historycznym, powołanym w pierwszym rzędzie do właściwego i bezstronnego ocenienia pracy Karejewa.

Przekład polski celuje poprawnością i dokładnością.

Władysław Prokesch. *Piotr Chmielowski. Z powodu dwudziestopięciolecia pracy pisarskiej*. Kraków 1892.

Książeczka, którą mam przed sobą, jest odbitką artykułu, umieszczonego przed kilku tygodniami w *Nowej Reformie*. Dwudziestopięcioletni jubileusz działalności pisarskiej Chmielowskiego, dał panu Władysławowi Prokeschowi assumpt do napisania treściwego, barwnego szkicu o najznakomitszym dzisiaj w Polsce krytyku dzieł literackich.

Na tle epoki, pod względem piśmienniczym, tak ożywionej jak był czas po r. 1863, zwłaszcza zaś ta doba, w której szerokie kręgi roztaczał ruch pozytywistyczny, nakreślił autor nader zręcznie i wyraźnie sylwetkę Chmielowskiego, przedstawiając nam działalność jego od pierwszych występów w prasie perjodycznej warszawskiej aż do dni ostatnich, gdy głęboki uczony i krytyk owoce długoletnich swych badań w grubych zamknął tomach, które mu powszechny zjednały szacunek i rozgłos. Autor szkicu nie pominął żadnego szczegółu — a jasność i treściwość, to główne zalety jego broszurki.

J. K.

Kazimierz Lewandowski: *Szella*. Wiersze. Kraków 1893.

Smutne nadzwyczaj wrażenie pozostaje po przeczytaniu małego, wytwornie wydanego tomiku poezji, który właśnie w tej odłożyłem chwili.

Autor, na polu literackiem występujący, zdaje się, po raz pierwszy, obdarzył ulotne wierszyki swoje wszystkiemi cechami dekadentyzmu. Pod osłoną wdzięcznej niejednokrotnie formy napróżno byś szukał jakiejkolwiek idei, któraby zajęła umysł nowożytnego człowieka, napróżno byś szukał wyrazu uczuć, wychodzących po za granice — nie miłości, ale zwykłej kochliwości. Prócz „Szelli" — tak się nazywa wymarzona jego „anielica", nic widocznie dla p. Lewandowskiego nie istnieje, jej poświęca on „swoją łzę, zrodzoną na rozpaczy łonie", jej „swój żal serdeczny, co się w jęki wciela", jej „swoje westchnienie, co miłością zionie"; całe wnętrze jego tak jest nią zajęte, że sam się przyznaje, iż nie ma w niem miejsca dla żadnej idei. Zapały miłosne trwają jednak niedługo — wystarczyło dla ich ujawnienia zaledwie kilka kartek tomiku, później bowiem spotykamy się z wyrazami — zdegustowania. Rzecz to prosta: kto jak p. Lewandowski „wszystkie swe bóstwa poświęcił na ofiarę Afrodycie", od tego trudno wymagać, aby się nie wyczerpał, nie popadł w pesymizm, a nawet w pewien rodzaj brutalności cynicznej, będącej ostatnim podrygiem zmarnowanej siły. Że autor tę siłę posiada, czy mógłby ją przy pewnem naprężeniu woli znaleść w sobie, o tem świadczy np. piękny wiersz pt. „Wschód" albo „Groźba Daniela" lub „Melsztyn". Zamiast jednak pójść w kierunku, charakteryzującym wzmiankowane utwory, przeżuwa p. Lewandowski niedogryzki heinowskiej ironji i obdarza czytelnika takiemi wierszami, jak — dajmy na to „Wiktorja" albo „Dzieciaki", których wstydziłby się nawet Kajetan Węgierski. Autorowi możnaby wróżyć jaśniejszą przyszłość, gdyby zechciał porzucić nieoryginalny wcale sceptycyzm, gdyby przestał się skarżyć na „zgon myśli", ale naprawdę postarał się o to, ażeby zdobywać dla siebie coraz szersze myśli tej kręgi. Życie dzisiejsze przedstawia przecież dla człowieka, odczuwającego dolę swych braci, dosyć materjału dla napisania tomiku prawdziwej poezji.

J. K.